



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: „CENA STRACHU” BY FRIEDKIN

W języku filmowym termin „remake” oznacza ponowną ekranizację tematu, który w większości przypadków stał się już „klasykiem”, a swego czasu zdobył szerokie uznanie widzów. Przy czym ta nowa ekranizacja – dzieło zupełnie innego reżysera – jest jakby powtórzeniem pierwowzoru, tylko że uwspółcześnionym, unowocześnionym, dopuszczającym pewne wariacje tematyczne i formalne. Właśnie dlatego idzie się do kina na remake słynnego filmu, który zna się zazwyczaj z autopsji, żeby świat dawnych przeżyć zobaczyć w innym, współczesnym wymiarze i dokonać próby konfrontacji. Ta konfrontacja wypada najczęściej na niekorzyść dzieła późniejszego. Tak było w niedawnym przypadku „King-Konga”, którego dzisiejsza supertechnika filmowa pozbawiła całej niegdysiejszej naiwnej romantyki: tak jest z idącą właśnie na naszych ekranach „Ceną strachu” Williama Friedkina, nawiązującą do słynnego dzieła Clouzota z początku lat pięćdziesiątych.

Dla mojego pokolenia, to znaczy dla ludzi, którzy dochodzili do pełnoletności w okresie polskiego Października, objawiająca się właśnie wówczas na polskich ekranach, nakręcona w 1953 r., „Cena strachu” była nie tylko dziełem niosącym określone wątki filozoficzne i społeczne, ale również, a może przede wszystkim, odkryciem świata oglądanego z zupełnie różnej, niż dotychczasowa, perspektywa. „Cena strachu” dokumentowała naocznie, że unosimy się oto na zupełnie już innej fali.

Uważa się, że wpływ na rewolucję intelektualną i obyczajową wśród młodzieży, wielu krajów, także Polski, przyniósł ze sobą nakręcony w 1954 r. ( tj. w rok po „Cenie strachu”) film Andre Cayatte’a „Przed potopem”, z młodziutką Mariną Vlady. I to jest prawda. Ale w ówczesnym polskim wymiarze, dla ówczesnego pokolenia „wstępującego” właśnie opowieści Clouzota o grupie mężczyzn transportujących z narażeniem życia przez dzikie bezdroża i wertepy ładunek nitrogliceryny, który w każdej chwili może spowodować kataklizm, o ludziach zdecydowanych na ten z pozoru szaleńczy krok z powodu niezgody na rzeczywistość, w której przyszło im żyć – ta opowieść nabrała znaczenia szczególnego.

Zresztą i bez czysto polskiego „nachylenia” interpretacyjnego „Cena strachu” robiła na nas wrażenie ogromne. Oparta na powieści Geirgesa Arnaud, eksponując w doskonały sposób wątek dramatyczno-przygodowy, potrafiła zarazem nasycić go aktualnymi wówczas treściami

egzystencjalistycznymi, refleksją nad losem człowieka walczącego o swoją godność, ale skazanego na ciągłą trwogę, na nieuchronną śmierć, na nicość. Pokazywał też Clouzot świat okrutny, bezwzględny świat wielkich interesów, który jednostkę ludzką dostrzega o tyle tylko, o ile jest mu potrzebna do wykonania własnych celów. Osadzenie akcji w suchej, kamienistej pustyni, gdzie nie było na czym „przeć oka”, wyostrzało uwagę widza na suspens i na filozoficzno-społeczne przesłanie. Problem był niejako „wypreparowany” z otaczającego nas świata, ale – paradoksalne – właśnie dlatego tym bliższy, tym bardziej ludzki. Dodajmy doskonałą grę całego zespołu aktorskiego z Ivesem Montandem oraz Charielem Vanelem, niezapomnianym ex-gangsterem „panem Jo”.

„Cena strachu” Henrj Chrzota była dziełem reprezentatywnym dla francuskiego kina i dla francuskiej myśli początku lat pięćdziesiątych. W ćwierć wieku później przyprawiono ten temat na sposób amerykański.

William Friedkin, wyrosły z telewizji i dokumentu, jest u nas znany przede wszystkim ze swego wielkiego sukcesu fabularnego – „Francuskiego łącznika”. Sukces tego gangstersko-policyjnego obrazu powiększył wkrótce potem na zachodzące o „Egzorcystę”, thriller z pogranicza parapsychologii. Sięgając wreszcie po „Cenę strachu”, chciał pewnie Friedkin połączyć swoje dotychczasowe doświadczenia w różnych gatunkach filmowych, chciał też dodać do klasycznego tematu coś nowego, własnego, od siebie.

Uwspółcześniając Clouzota, nadał filmowej opowieści mocny akcent polityczny: umiejscowił ją w którymś z dyktatorskich państw Ameryki Południowej, w parnych dżunglach, wśród oszalałej przyrody, gdzie przemykają grupy uzbrojonych mężczyzn, przypominających jakby partyzantów Che Guevary. Z tym wszystkim musi dać sobie radę grupa śmiałków przewożących śmiertcionośny ładunek. A są jeszcze zdarzenia niemal nadprzyrodzone, straszące pod koniec filmu głównego bohatera, który choć powoli, lecz konsekwentnie zmierza do bardzo gorzkiego wprawdzie, ale przecież – happy endu.

Odpowiednikiem postaci stworzonej u Clouzota przez Ivesa Montanda jest w filmie Friedkina dobrze znany nam ze „Szczęk” Roy Scheider. Niestety, nie wysilił się tutaj zbytnio w swoim aktorstwie; jakby dla kontrastu – William Friedkin usiłował wysilić się, z fatalnym skutkiem, w „nowej interpretacji” Clouzota. Film jest, moim zdaniem, zrobiony z ciętami do efekciarstwa, przy pewnych pozorach – płytki, a co najgorsze: nudny. Szkoda, że go w ogóle sprowadzono. U nas na ekranach można było po postu wznowić stare dzieło Clouzota.